



WARSZAWSKIE ZALOTY

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

Teatr Polski wystawia „Szkolę kobiet” Wojciecha Bogusławskiego. Kiedy unosi się kurtyna, na scenie ożywa zaulek warszawski jakby ze starych, stanisławowskich płócien czy sztychów wyjęty. Bo choć zarys fabuły swej komedii, która po raz pierwszy w 1780 r. reprezentowaną będąc spotkała się z nader „podchlebnym u publiczności przyjęciem”, wziął Bogusławski od Moliera, to akcję przeniósł przecież do Warszawy i nasycił rodzinnymi realiami, nazwiska i charakterystyką, rzecz całą do krajowych przysposowując obyczajów, bo „równie wówczas wszystkie komedie chcieli mieć poprawiającymi domowe wady i miłość cudzo-

ziemczyzny mniej jeszcze zajmowała serca Polaków.”

Mamy więc przed sobą przedmiejski wtedy Grzybów jakby go Canaletto lub Vogel malował, w perspektywie widać kolumnę Zygmunta ale nie tę dzisiejszą, wysmukłą, lecz właśnie po canaletowsku pekatą, trochę ku niskim facjatkom kamienie nachyloną, a przez uliczkę przesuwa się tłumek warszawski — wozwoda krzykliwie swój wiśniany towar zachwala, stróż z kotatki nowy ranek ogłasza, śpiewacy podwórkowi siłą swych nieuczonych gardeł na chleb zarabiają, serenade miłosną pod oknami ślicznej Anusi wywodzą.

Całą swą sztukę, której osnowę perypetie miłosne onej Anusi stanowią, Bogusławski takimi barwnymi scenkami poprzątywał, przez co niewczesne zaloty imć pana Anzelma, oplekuna nadobnej panny i brawurówkę poczynania miłego jej sercu Porucznika jeszcze zabawniejsze i wdzięczniejsze się stają. Reżyser zaś przedstawienia wierny wyłożonym na wstępie intencjom autora stąd właśnie czerpał wskazówki dla swojej i aktorów roboty, ów koloryt warszawski, tutejszy wleoma drobnymi szczegółami wzmacniając: ot np. bohaterowie nie wytwornym „adieu” się żegnają, lecz z polska francuszczyznę akcentując mówią „adyje”, a staropolska artyku-

lacja w całym dialogu ściśle zachowaną została.

Tak jak autorstwu Bogusławskiego patronował Moliere, tak w rozwiązaniach reżyserkich odnaleźć by można parantele z Planchonem, z jego sławną inscenizacją „Grzegorza Dymały”, w której świat molierowski wydobyty spod stylizowanej, wymuskaanej elegancji kostiumów i sytuacji, bez żenady umieszczony w kurzu i słomianych wiechciach rozłożonych na dziedzińcu paryskiego domostwa, stał się niespodziewanie soczysty i dotykający, daleki od ładnej sztampy, bliższy prawdy — także codziennej, potocznej — o dawnym życiu. A XVIII-wieczna Warszawa zasługuje na to, by dziś na scenie przypomnieć jej pejzaż, jej obyczaje, przywary i cnoty jej obywateli. Tak jak je widział Bogusławski, jak je utrwalił w swych pamiętnikach Jezierski, Magier, Schulz, Wybicki. Tym bardziej, że materiał jest ku temu wspaniały i obrzynny.

W teatrze wędruje oto po scenie stróż nocny z kotatką, lampy zapala, a w starych zapisach czytamy: „Za pomnożeniem dozorców konieczne następuje porządek lamp czyli światła utrzymanie. Czy to rzecz podobna, aby jeden strażnik czwartą część Warszawy codziennie obszedł, aby dopinował światła, aby nawet trafił wszędzie wśród ciemności? Co za widok piękny, kiedy latarnie w jednej od siebie odległości dajmy o 70 kroków a w jednej od ziemi wysokości na słupach osadzone będą.”

Takich wycieczek w plener stanisławowskiej Warszawy będzie w przedstawieniu więcej, my przecież na samej intrydze się skoncentrujemy...

Oto bryka po scenie pan Filutowski, ordynans głównego bohatera i amanta, w obszarpanym mundurze, bo pan strawnego nie plać, na miłostki dukaty wydaje nader ochotczo, korzystając z tego, że „stosunki miłosne w Warszawie, nie budząc zgorznienia, wiążą się bardzo swobodnie”. Wzdycha więc Filutowski do lubych pieniędzy, co by tu jeszcze z dobytka panicza zastawić było można dumając, a kronikarz rozważaniom onym taki dodaje komentarz: „Wiek bachantków był w modzie i w dobrym tonie. Stąd wyległa się lichwa, stąd cyrografy wekslowe. Bankierów, facjendarzów, oszustów obcych i krajowych hordy po wszystkich rozstawione szlakach zwoziły swym kuglarstwem łatwowierność, łupły z majątków młodzieź.”

Pan imć Filutowski do łatwowiernych się nie zalicza. Może nawet zbyt pewnym jest siebie, zwłaszcza gdy idzie o pieć piekną. Zapomniał nieborak, który z kresowego reżymentu do stolicy zjechał, że „co innego Ukraina, a co innego Warszawa. Tam kobiety lada słowu uwierzą, a tu jej nie oszukasz, prędzej ona ciebie. Tutejsze damy więc w piętnastu leciach mają nauki i rozum niż tam w pięćdziesiąt”. A heroína „Szkoly kobiet” właśnie w „piętnastu jest leciach”. I choć w klasztorze w „największej niewiedomości chowana” to przecież wkrótce wielkiej przemyślności nabrawszy, spod opieki zazdrosnego starca się wymknie i nocą po linie z okna się spuściwszy z pięknym „oficyjnym” do ołtarza pójdzie. By zaś Anusi jej zamysły ułatwić, tak Bogusławski intrygę układa, by ukazywać się mogła Porucznikowi w wieczornych i nocnych strojkach. Władomo bowiem, iż „szczególniej kunszt ubrania się kobiet polskich odznacza się w półubiorze, negliżu. Naturalny wdzięk który im jest właściwy, najlepiej się przy nagłżu uwidatnia; delikatność i powiewność materii, które do stroju wybierają, czyni te postacie, po większej części wysmukłe i dorodne, jakby przezroczytymi i daje oku malowniczy nader widok, które postawą udatną i ruchami zręcznymi uwidatnione, ciągle wzrok naszą i uwagę zwróconą na nie utrzymują.”

Można by tak długo jeszcze tekst Bogusławskiego i jego sceniczną w Teatrze Polskim realizację z dawnymi zapisami konfrontować. Zajęcie to przecież więcej będzie przyjemnym, gdy się nim Czytelnik sam zatrudnić zechce. Dodajmy tedy tylko jeszcze informacje, iż rolę Porucznika odtwarza Andrzej Antkowiak, Filutowskiego — Tadeusz Fluciński, nadobnej Anusi — Elżbieta Jezewska, a jej służącej Felusi — Jolanta Bohdał. Wszystkim im zaś amory mąci groźny pan Anzełm — Tadeusz Fijewski.

Reżyserowała Krystyna Meissner, scenografia — Otto Axer.

(A.B.)

